

Rafał Matyja: Jak się wyrwać ze strategicznej głupawki

Jesteśmy krajem tysiąca strategii bez jakiegokolwiek własnej myśli strategicznej. Bez pomysłu na to, z czym musimy wyjść z okresu finansowania unijnego



Jesteśmy krajem tysiąca strategii bez jakiegokolwiek własnej myśli strategicznej. Bez pomysłu na to, z czym musimy wyjść z okresu finansowania unijnego

Tekst ukazał się w najnowszym numerze tygodnika Nowa Konfederacja

Polska jest obecnie krajem setek, jeśli nie tysięcy strategii. Dokumenty o takiej nazwie spotykamy na stronach gmin, powiatów i regionów, ministerstw i uczelni. Strategie wypromowały nowe słowa, związki

frazeologiczne, cały zestaw sloganów, które często nie niosą dającej się przetłumaczyć na potoczny język treści. Stanowią system znaków pozwalających jedynie na stwierdzenie, że autor dokumentu należy do kręgu „wtajemniczonych” w europejską nowomowę i rytuały eksperckie.

Przemysł tworzenia strategii

Te modne sformułowania pozwalają też na ustanowienie hierarchii ekspertów. Niektórzy używają słów popularnych pięć sezonów wcześniej, a inni – chwytają w lot brukselskie czy anglosaskie neologizmy i ustanawiają na ich podstawie kreatywne polskie normy językowe. Ktoś, kto nadużywa dziś pojęcia „kapitał” (społeczny, kulturowy, ludzki, intelektualny), wydaje się śmiesznie anachroniczny. Zużywa się również powoli „gospodarka oparta na wiedzy” i wszelkiego rodzaju „kreatywne” podkreślenia banalnych rzeczowników. Kryzys wymusza mniej optymistyczne sformułowania. Musi być więcej równowagi, dywersyfikacji itp.

Jednak cały ten „przemysł tworzenia strategii”, który sam sobie wydaje się niezwykle kreatywny, daje bardzo smutne i nudnawe przedstawienie. Strategie różnią się od siebie nieznacznie, czasami można odnieść wrażenie, że czytamy jeden wielki tekst opętanego wizją własnej sprawczości autora. Ta jednolitość ma swoje źródło w fakcie, że wszystkie teksty ożywia jedna myśl: maksymalizacja absorpcji środków unijnych poprzez możliwie pełne wpisanie się w logikę strategii unijnych.

Kilka lat temu przysłuchiwałem się obronie pracy dyplomowej, której przedmiotem był projekt dotyczący wielokulturowości jednej z małopolskich gmin. Gmin, którą zamieszkiwali niemal wyłącznie katolicy i w której nie było mniejszości etnicznych. Ani dziś, ani przed laty. Ale były unijne pieniądze, które udało się – na hasło „wielokulturowość” – wyciągnąć z jakiegoś funduszu.

Ten skrajny przykład ma swoje dziesiątki wcieleń w projektach, o których nikt nigdy by nie pomyślał, gdyby trzeba było realizować je z budżetu najbogatszej nawet gminy, najbardziej szastającego środkami budżetowymi województwa.

Wpadliśmy zatem w jakąś fatalną intelektualną, ale do pewnego stopnia także duchową, zależność od logiki wykorzystania środków europejskich. Zawieszając myślenie o rozwoju tego, co najbardziej niezbędne i co i tak powinniśmy sfinansować z własnych środków. Jesteśmy krajem tysiąca strategii bez jakiegokolwiek własnej myśli strategicznej. Bez pomysłu na to, z czym musimy wyjść z okresu finansowania unijnego.

Kraj wciąż niezintegrowany

W skali kraju przykład jest bardzo prosty. Czwarte co do liczby ludności miasto w kraju – Wrocław – nie ma szybkiego połączenia z Warszawą. Zaniechanie budowy ekspresowej kolei na tym odcinku jest najbardziej spektakularnym gestem nowej ekipy Tuska. Bo z punktu widzenia praktycznego zastosowania i prestiżu państwa połączenie kolejowe

stolicy z największym miastem Ziemi Zachodnich, od prawie siedemdziesięciu lat włączonym w strukturę państwa polskiego, jest inwestycją wielokrotnie ważniejszą od Euro 2012.

Każde państwo starałoby się możliwie szybko zintegrować infrastrukturalnie miasta takie jak Wrocław, Szczecin czy Olsztyn. Każde – z wyjątkiem naszego.

Ale takie historie można mnożyć na nieco niższym poziomie. Polskie rządy na każdym kroku pogłębiają różnicę między Polską dużych metropolii (z dużym naciskiem na Warszawę) a Polską B. Widać to doskonale w systemie komunikacji kolejowej. Polskę A obsługują pociągi EIC, szybkie z czystymi przedziałami i toaletami. Podróż TLK po Polsce B to przede wszystkim podróż w czasie do epoki wagonów z brudnymi toaletami, ciasnymi i zatłoczonymi przedziałami i rozkładami jazdy traktowanymi z przymrużeniem oka.

Polska B to kraj dziurawych dróg i rozleniwionych elit lokalnych, które poprzestają na rozmaitych upiększeniach swoich miast i wsi za unijne pieniądze, nie martwiąc się o to, jak będzie wyglądał rozwój po roku 2020. Polska B nie trafia na czołówki gazet i programów informacyjnych, o ile nie dojdzie do jakiegoś obrzydliwego morderstwa, strasznego wypadku czy obyczajowego skandalu.

Polska B to świat gorszych obywateli, takich, o których eksperci mówią z ledwie skrywaną pogardą „starsi, gorzej wykształceni, z małych miast”.

Przez dwanaście lat mieszkałem w Nowym Sączu. Między rokiem 2000 a 2012 miasto to straciło połączenie kolejowe z Warszawą. Choć zniesiono granicę ze Słowacją, straciło też połączenia kolejowe, które w czasach PRL prowadziły jeszcze nad Morze Czarne, a przez chwilę – po 2000 r. – do Preszowa, Koszyc i Budapesztu. Dziś najszybsze połączenie dwóch sąsiednich stacji kolejowych po stronie polskiej i słowackiej prowadzi przez... Czechy i zajmuje kilkanaście godzin.

Regres poza wzrokiem ekspertów

Ale wszystkie strategie regionalne mówią o rozwoju transportu publicznego, wykorzystaniu położenia regionu, budowaniu relacji z południowym sąsiadem. Udajemy współpracę w ramach grupy wyszehradzkiej, za nasze podatki samorządowcy po obu stronach granicy urządzają sobie liczne odwiedziny.

Jednak prosty regres, jaki nastąpił w ostatniej dekadzie, pozostaje poza polem widzenia autorów strategii. Bo ich słownictwo nie zna pojęć opisujących procesy przeciwne do rozwoju.

Myślenie „lokalne” wyszydzone przez slogan „myśl globalnie, działaj lokalnie” to jeden z najsilniejszych niewykorzystywanych dziś atutów każdego kraju peryferyjnego

Wydaliśmy na pisanie strategii ogromne pieniądze. Proceder ten pochłonął masę czasu urzędników i reprezentantów różnych podmiotów społecznych. I nie dowiedzieliśmy się wiele więcej. Raczej

daliśmy się ogłupić procedurze i wzmocnić – istniejącą w wielu krajach europejskich peryferii i półperyferii – skłonność do „rozwoju zależnego”, niepodporządkowanego własnym kluczowym interesom.

Wydaje się zatem, że najważniejsze, co powinniśmy zrobić, to wyrwać się z owej „strategicznej głupawki” i równolegle do projektów tworzonych z myślą o pozyskiwaniu środków europejskich wdrażać projekty niezależne od tej logiki. Może okazać się bowiem, że lokowanie ogromnej liczby środków publicznych w ramach wkładu własnego do tego, co finansuje Unia, jest mniej logiczne niż wydatkowanie tych samych środków na własne inwestycje, które rzeczywiście przyniosą szybkie, wymierne korzyści.

Myślenie „lokalne” wyszydzone przez slogan „myśl globalnie, działaj lokalnie” to jeden z najsilniejszych niewykorzystywanych dziś atutów każdego kraju peryferyjnego. „Myślimy za was – zdają się nam mówić europejskie dokumenty – wy macie znaleźć tylko sposoby na lokalne aplikacje”. Zapłacimy wam za możliwie wierny przekład naszych intencji na wasz lokalny dialekt. Wasza elita będzie elitą tłumaczy i kontrolerów badających zgodność lokalnych działań z naszymi intencjami.

Nie wystarczy obalić rząd

To, co miało stać się motorem rozwoju, stało się jego hamulcem. Zablockowaliśmy naturalny mechanizm konkurencji podmiotów (bo wygrywał ten, który więcej dostawał z unijnej kasy, a nie ten, który lepiej identyfikował rzeczywiste problemy), selekcji kadr (tłumacz

zawsze wygrywał z tym, który miał do powiedzenia coś własnego), hierarchizacji problemów (nadmierną wartość przypisując tym, które „pasowały” do unijnych priorytetów).

Uruchomienie mechanizmów odwrotnych wymaga nie tylko zmiany rządzącej ekipy, bo wielu ludzi w partiach opozycyjnych wobec PO i PSL myśli podobnie jak członkowie obecnego gabinetu. Ba, wielu z nich – zarówno z PiS, jak i z SLD – ma swój udział w tworzeniu takiego modelu myślenia strategicznego. Dość sięgnąć po dokumenty z lat 2004–2006, na których oparto pozostałe projekty rozwojowe.

Nadziei na odwrócenie tej logiki nie daje też w istocie zapowiedź pewnej wersji rewolucji republikańskiej, skupionej na hasłach antypartyjnych i mechanizmach gospodarczej deregulacji. Pomysł na polską wersję Tea Party, który zdaje się inspirować inicjatywę Jarosława Gowina, pomija kwestię tworzenia rodzimych – dostosowanych do naszych specyficznych, półperyferyjnych problemów – strategii, przenosząc to zagadnienie na poziom ustrojowy i bazując na nadziei na samoczynne procesy gospodarcze i społeczne.

Samoregulacja taka jest mitem, bo zachodzi w środowisku ukształtowanym przez rozmaite „sztuczne popyty”, sformatowane poza wpływem jakiegokolwiek rynkowej konkurencji strumienie środków. Co więcej, strategia skoncentrowana na deregulacji nie odpowiada na pytanie o rolę państwa, czy szerzej – całego sektora publicznego w kształtowaniu rozwoju. Propozycja Gowina byłaby bardziej interesująca, gdyby wychodziła nie od deregulacji, lecz od kwestii tego, co – zdaniem nowej formacji – można zaprojektować w sferze polityki rozwoju.

Zacznijmy myśleć samodzielnie!

Uruchomienie pozytywnej przemiany w tej sferze wymaga dziś nie tyle zdjęcia blokad, ile rewolucyjnej zmiany postaw społecznych, opartej na nowym zaufaniu do działania w przestrzeni publicznej. Jednak Polska bardziej niż rewolucji politycznej potrzebuje dziś zmiany w myśleniu i korekty reguł stosowności, wymuszanych w sferze publicznej. Uznania prymatu konkretnych własnych celów, myślenia długofalowo, ale poza imperatywem „absorpcji środków”, poza kolejnymi mutacjami brukselskich mód w rodzaju strategii lizbońskiej.

Nie oznacza to rezygnacji z programowania pewnych polityk na poziomie unijnym, lecz jedynie zakwestionowanie uniwersalnego zastosowania wszelkich matryc rozwojowych, wypracowanych w Brukseli.

Co więcej, dobrze byłoby zawczasu przeciwdziałać także szkodliwemu centralizmowi Warszawy i wielkich metropolii, rozmaitym wersjom „centralnego planowania” w nauce i kulturze, w oświacie czy modnej ostatnio „planowanej innowacyjności”. Pomysł na szkołę powinien mieć jej dyrektor, a nie minister. Wiedzę o tym, kogo kształcić, kadra wyższych uczelni, a nie oświecony przez Bóg raczy wiedzieć co wysoki urząd decydujący o kierunkach zamawianych.

Zmiana w myśleniu przyniesie pożyteczne skutki, gdy jej punktem wyjścia będzie umysłowa samodzielność. Gdy w oparciu o doświadczenie, podpatrywanie najlepszych, roztropne przewidywanie –

zapropnuje i przetestuje lokalnie własne recepty na rozwój. Lepiej nie być mądrym po szkodzie, lecz w momencie, gdy następnych błędów można jeszcze uniknąć.

Rafał Matyja

Tekst ukazał się w najnowszym numerze tygodnika Nowa Konfederacja